CZUJ DUCH

MIESIĘCZNIK :: MŁODZIEŻY :: HARCERSKIEJ

ROK IV. 1925, CENA 60 GR. | POZNAŃ | LISTOPAD NR. 11. (42)

St. Papée.

Dobosz nowej Pracy.

W „Słowie o Bandosie" pisał niegdyś Żeromski: „Ze wszystkiego wyzuci na obszarze świata musimy wynaleźć nowy pracy gatunek. Jak ludzie dzicy z dwu kawałków drewna, które zostawi w naszych ręku los, musimy szalonym naszym entuzjazmem i niestrudzonym uporem wywiercić ogień nowy.

Niech ocknie się i pokaże dobosz nowej Pracy i nowej Sprawy!

Niech oczy nasze z tęsknoty zgorzałe zobaczą jego natchnione oblicze".

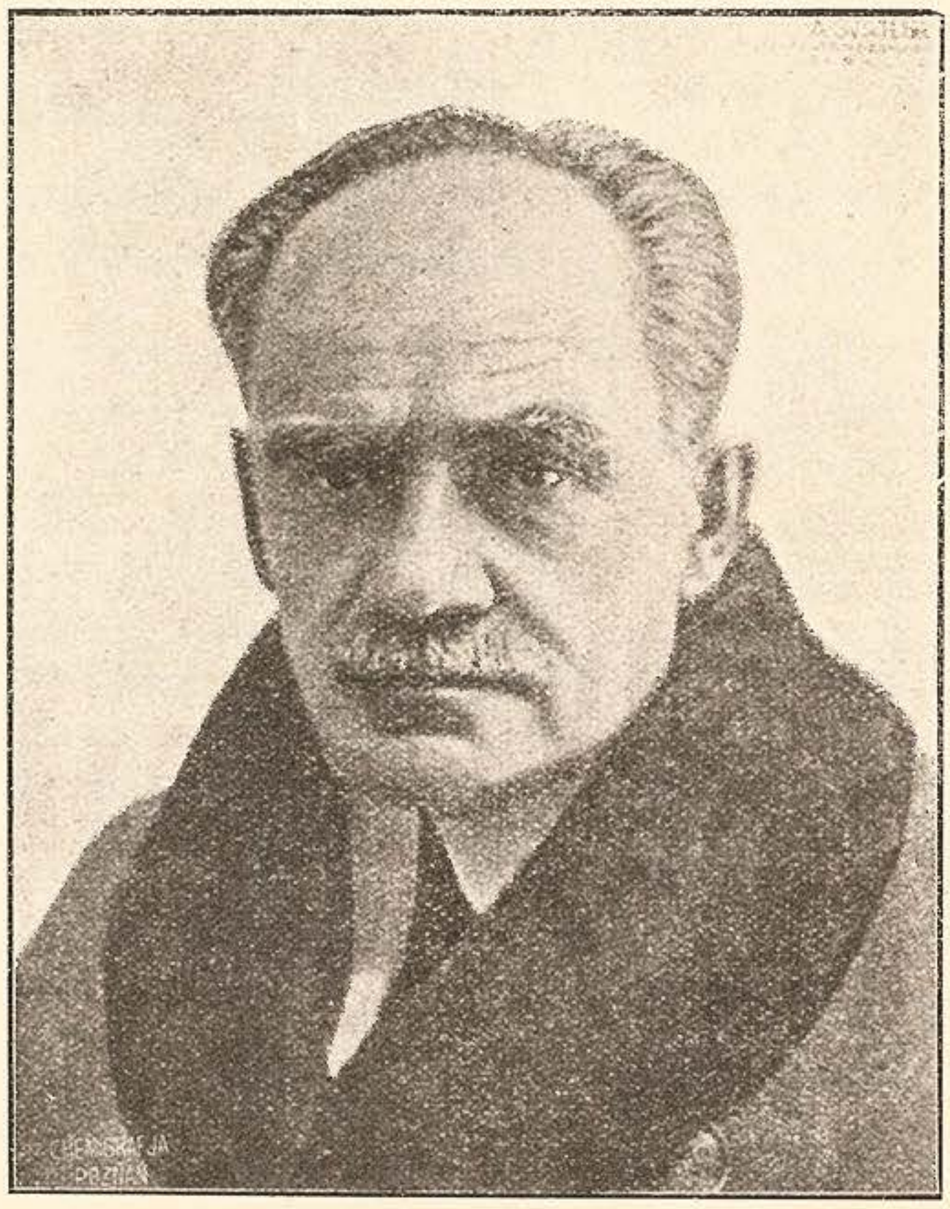

Stefan Żeromski

największy z współczesnych pisarzy polskich zmarł 20 listopada w Warszawie.

Oczy nasze ujrzały w natchnionem obliczu Stefana Żeromskiego dobosza nowej Pracy i nowej Sprawy, który z szalonym entuzjazmem i niestrudzonym uporem bił budkę i niecił ogień, zuchwale ciskał rękawice kłamstwu i obłudzie, żagwią prawdy wypalał w nas egoizm i lenistwo ducha, aż rozgorzało ognisko nowego życia lud zobaczył się wolnym, a w sercach Dobro odniosło zwycięstwo nad Złem.

Żeromski dążył wytrwale do przezwyciężenia bezwładu duszy polskiej. Już w pierwszych opowiadaniach ostrzegał, że rozdzióbią nas kruki i wrony, bo zamarła polska tężyzna i postępiał opór pod uderzeniem nieszczęść narodowych. Na pomoc słabemu Marcinkowi Borowiczowi posłał więc Andrzeja Radka, bo wierzył, że w polskim chłopie tkwi niewyzyskany zasób sił, odpowiedni do podjęcia syzyfowych prac, czekających na obywatela. W „Ludziach Bezdomnych" pokazał ile wyrzeczenia się i samozaparcia wymaga taka praca, wykonywana w Polsce przez szlachetne jednostki za ogół i wbrew upodobaniom i nawykom ogółu. Hasła Andrzeja Radka i dr. Judyma przejęli również Raduski z „Promienia", Rozłucki z „Urody życia" i Ryszard Nienaski z „Walki z szatanem", ludzie bezdomni, rycerze walki o Polskę.

archiwum

Zapragnął Żeromski drogę doskonalenia się jednostki i pokoleń przedstawić także w cyklu utworów, opiewających dzieje jednego rodu. W świetnej epopei przeżyć legjonowego żołnierza, w „Popiołach", mamy n. p. opisaną postać Rafała Olbromskiego, młodzieńca, który żyje niczem Kmicic, ale nie umie przerodzić się jeszcze w Babinicza. Zato w „Turoniu" syn Rafała, Hubert, jest już bohaterskim emisarjuszem, a w „Wiernej rzece" piastuje godność jednego z naczelników powstania.

Żeromski nie przestawał na tych przykładach. Sięgnął do postaci historycznych i w „Dumie o hetmanie" wskazał na Stanisława Żółkiewskiego, a w pierwszym swym dramacie na Sułkowskiego, jako na ludzi silnych, pełniących obowiązek.

Służba sprawie, okupywana wyrzeczeniem się osobistego szczęścia, stanowiła główny temat prawie wszystkich utworów Żeromskiego od pierwszego tomu nowel aż po komedję „Uciekła mi przepióreczka...". Lęk o przyszłość Polski, odzyskanej za cenę tylu poświęceń i ofiar, podyktował pisarzowi ostatnią wielką powieść: „Przedwiośnie", żądanie, aby odzyskanie wolności uwieńczone było przemianą dusz polskich, nakaz zapobieżenia grożącemu niebezpieczeństwu przez obudzenie sumień i wskrzeszenie wzniosłych idei, próba wydźwignięcia wywalczonej ojczyzny „na wyżynę świata, gdzie jest jej miejsce".

Nam harcerzom drogim jest Żeromski nie tylko z powodu wytrwałego akcentowania obowiązku pracy dla Polski w powieściach, dramatach i broszurach publicystycznych. Podziwiamy go również jako mistrza mowy polskiej, która w jego ustach nowych nabrała barw i dźwięków. Kochamy go za opis ziemi naszej i wód naszych, za hymn na cześć ziemi kieleckiej, wyśpiewany w powieściach; za „Wisłę", co nam oczy otwarła na piękno naszej rzeki; za „Wiatr od morza" i „Międzymorze", które nauczyły oddychać pełną piersią i wzrok wytężyć w dal i trzymać straż nad Bałtykiem.

Nad świeżą mogiłą Żeromskiego powtórzymy uroczyście święte jego wezwanie:

„Młodości!
Wszystkiego dziedzicu!
O, pokolenie przyszłą wiosnę niosące!
Promień słoneczny po nocy, z za krawędzi mroku znowu wytryśnie.
Ciepły wiatr z południa powieje w trawy młode, we włosy i na lica dzieci wiejskich, po topielach dróg spieszących do dalekich, biednych, zrzadka rozstawionych szkółek i ochron.
Rozkwitnie znowu wiśnia po sadach, w opłotkach brudnych wsi...
Zakuj się w żelazną zbroję woli, o młoda duszo"!
....i zaprzysięgniemy Żeromskiemu aż do zgonu pełnić obowiązek, aż z oblicza ziemi wygładzimy zło i nigdy już nie potknie się Szczęście polskie, Ojczyzna nasza.

Wówczas z przedwiośnia wejdziemy w wiosnę nowej Pracy i nowej Sprawy, jak nam nakazał Stefan Żeromski, hetman naszego pokolenia.

Najlepszy materjał do gawędy o STEFANIE ŻEROMSKIM znajdą druhowie w dwóch zbiorach: „DLA MŁODZIEŻY" 1921 r. Pomocą może służyć również szkic: WŁODZIMIERZ JAMPOLSKI. STEFAN ŻEROMSKI. Lwów. Bibljoteka Tęczowa.

archiwum

M. KONOPNICKA.

...Idź, idź, idź naprzód! Ta przyszłość słoneczna,
Nad którą ludy pracują — istnieje!
W mrokach my jeszcze, lecz w górze już dnieje!
Przed Tobą droga twarda — a konieczna.
Ty pierwsza musisz wedrzeć się na szczyty,
Pierwsza zwiastować poranne błękity,
Wznieść sztandar pracy, wytrwania wśród znoju
I być hejnałem świtu i pokoju,
W słońce zwróconą ludzkości źrenicą —
Czuwaj, strażnico!

Ku morzu!

Czy wiecie, Harcerze polscy, co to jest morze?

Byliście z hufcami waszemi nad morzem, zwiedzaliście Gdynię, Puck, Hel, Karwię i Żarnowiec, kąpaliście się w morzu, robiliście wycieczki kutrem rybackim i parowcem. Mówiono Wam i czytaliście o Arciszewskim, który ongiś fortyfikował Puck i Hel, o przygodach Przebendowskiego, o bitwie pod Oliwą. Czytaliście śliczną książkę Zaruskiego „Na morzach dalekich". Ale czy wiecie, jakie znaczenie ogromne ma morze dla Ojczyzny?

Dla narodów morze jest tem, czem dla ciała ludzkiego są płuca — człowiek bez płuc umiera, a naród bez morza nie rozwinie się swobodnie, będzie się dusił w swych granicach. Rozbiór Polski i utrata niepodległości miały swą przyczynę w tem, że ongiś naród nie doceniał znaczenia wolnego dostępu do morza i nie potrafił utrzymać tego nieocenionego klejnotu.

A dziś? Czy Polacy dzisiejsi okażą się godnymi tego, co Opatrzność im powierzyła? Czy nie popełnimy tego samego błędu, co kiedyś nasi przodkowie?

Każdy początek jest trudny, a zbyt dużo zadań spadło na nas odrazu. Ale zrobiliśmy już pierwsze kroki i postąpimy naprzód, byle nie zatrzymać się, byle wytrwale pójść po raz obranej drodze.

Tutaj, na polskiem wybrzeżu, my starsi rozpoczęliśmy dzieło; mało nas, a pracy zbyt wiele, ale wy, młodzież polska, wy, Harcerze, dokończycie dzieła zbliżenia narodu do morza. Morze wymaga ludzi dzielnych, z twardą wolą, o silnych mięśniach, a takich właśnie ludzi potrzebuje państwo. Kto będzie służył morzu, ten dobrze służyć będzie Polsce.

Harcerze! ku morzu skierujcie dążenia i wysiłki Wasze!

Gdynia, dnia 2 września 1925 r.

J. Unrug.

Harcerstwo morskie.

Harcerstwo Polskie, dobro Narodu za pierwszą mające cnotę, przystępuje obecnie do zorganizowania drużyn morskich z jednej strony, z drugiej zaś nacisku na starsze społeczeństwo w celu ciągłego przypominania o konieczności posiadania silnej floty wojennej i handlowej. Posiadanie własnej floty handlowej i przewożenie całego eksportu oraz emigrantów na własnych statkach, obsługiwanych przez polską załogę, pozostawia w kieszeni kraju znaczną ilość pieniędzy, co przyczynia się do naprawy bilansu płatniczego, a tem

samem do powiększenia dobrobytu narodu! (Anglja np. z tego tytułu posiada kolosalną sumę należności u obcych narodów i przez to może sobie pozwolić nawet na ujemny bilans handlowy).

Drużyny morskie mają za zadanie przygotowanie z pośród młodzieży gotowych kadr dla naszej marynarki wojennej i handlowej i w tym też celu program pracy drużyn został przystosowany do tych zasadniczych wymagań. Kierownictwo drużyn, w miarę możności, polegać będzie na fachowych siłach z pośród oficerów marynarki, dając tem samem gwarancję, że praca stanie na należytym poziomie.

Drużyny morskie będą posiadały swoje odrębne umundurowanie, będą traktowane tak, jakby stanowiły załogę jakiegoś fikcyjnego statku i tak szkolone, aby w razie potrzeby mogły bez żadnych specjalnych przygotowań objąć statek.

Ponieważ program pracy przewiduje ćwiczenia na morzu oraz ewentualne dalsze wyjazdy, drużyny morskie mogą powstawać w miejscowościach, posiadających odpowiedni basen wodny, jak to rzekę żaglowną, mającą połączenie z morzem, lub większe jezioro.

Kandydaci do drużyn powinni być zdrowi, posiadać wykształcenie przynajmniej szkoły powszechnej, w wieku od 15—20 lat.

Zasadniczo praca organizacyjna będzie się skupiać przy Komendach Chorągwi, które otworzą odrębne Wydziały Morskie; wydziały te będą prowadziły pracę w drużynach w porozumieniu z władzami centralnemi. Dotychczas cała ta praca jest w stadjum organizacji zapoczątkowanej przez wydział morski, Kom. Chorągwi w Poznaniu, który udziela wszystkich informacyj, oraz przyjmuje zgłoszenia do zorganizowanej I. Drużyny „Wilków Morskich" w Poznaniu.

Drużyny morskie będą uprawiały na szalupach morskich swoje ćwiczenia, polegające na nauce wiosłowania i żaglowania: przytem jednocześnie czyni się starania, aby ze środków zebranych pośród ogółu społeczeństwa harcerskiego, zakupić mały statek żaglowy, t. zw. szkuner, na którym wszyscy mogliby kolejno odbywać ćwiczenia na morzu, oraz dalsze wyprawy.

W tym celu wzywa się wszystkich sympatyków Harcerstwa Morskiego, aby zechcieli poprzeć wydatnie organizatorów przez swoją współpracę, przez rozpowszechnianie idei Harcerstwa Morskiego, oraz tworzenie funduszu na zakup pierwszego statku harcerskiego.

Jesteśmy wszyscy przekonani, że znajdziemy wielu, którzy nie odmówią nam swej pomocy i, aczkolwiek ze skromnemi środkami, potrafimy stworzyć podstawę dla przyszłej potężnej floty polskiej. Pod hasłem: „wszystko dla morza" musimy stanąć ramię przy ramieniu, a niewątpliwie uda nam się przezwyciężyć wszelkie przeszkody.

Pracujmy więc usilnie, aby snać przyszłe pokolenie nie osądziło nas surowo, żeśmy w tym dolce farniente*) przetrwonili nasz Bałtyk. Niechaj nikogo nie zrażają głosy niechętnych, gdyż są to ludzie słabi, lub trwożliwi, jeno weźmy się z całym zapałem do pracy dla dobra Ojczyzny.

Poznań, w listopadzie 1925 r.

L. Hermel.

*) Po włosku, dosłownie: słodkie pr ...owanie. Red.

archiwum

O kluby harcerskie.

Zdawaćby się mogło, że program Harcerstwa powinien wytwarzać wybitny zmysł życia zbiorowego; nic nie masz bowiem bardziej sprzyjającego życiu zbiorowemu, jak właśnie zainteresowanie się wspólnem zadaniem.

Jednak tak nie jest. W całej konstrukcji pracy harcerskiej tkwi jakiś zasadniczy brak, którego rezultatem jest rwanie się ciągłości pracy drużyn, rozbijanie z trudem stworzonych placówek i stały odpływ członków Z. H. P. do życia „cywilnego".

Spróbójmy wynaleźć przyczyny takiego stanu rzeczy i bez ogródek przyznać się do błędności niektórych dotychczasowych metod.

Istota pracy Harcerstwa polega na samowychowaniu. T. j. młodzież pracuje wspólnie nad osiągnięciem zakreślonego, przyjętą ideologją, celu. Starsi biorą w życiu harcerskiem dość mały udział, cała więc odpowiedzialność za wyniki pracy spada na samą młodzież.

Skazani na samowystarczalność, tem bardziej musimy czuwać nad czystością ideologji harcerskiej i uświadamiać sobie tę olbrzymią odpowiedzialność, jaką przyjmujemy na siebie za kierownictwo czy uczestnictwo w wielkiej gromadzie harcerskiej.

Tu stwierdzam naszą lekkomyślność polską, powierzchowne traktowanie podjętych prac, chęć osiągania czysto zewnętrznych efektów przy minimum wysiłku i zwalanie trudu i odpowiedzialności na innych. Pocóż jeszcze mówić o niepowodzeniach organizacji wobec podobnego traktowania zasadniczych jej spraw? I z tego właśnie płynie zły przykład, surowa krytyka, zniechęcenie i narzekania o niewielkiej wartości całego Harcerstwa!

— Dlaczego „całego" właśnie?!

— Nie! Toś ty winien, że błędy jednostek, czy większej nawet grupy, nie rozumiejącej swego powołania, bierzesz za wady „całego" Harcerstwa!

Toś ty winien, bo nie powiesz sobie jedynej najgłębszej prawdy:

— Harcerstwo to ja! Jakim ja będę — takiem będzie Harcerstwo i nic mnie teraz obchodzić nie może, że ktoś tam nie dorósł do swej funkcji, że ktoś znów operuje wytartym szablonem, bo nie stać go na indywidualność.

Jeżeli zatem stwierdziwszy, że ktoś jest nieodpowiedni na swem stanowisku, uważasz, że od ciebie w wielkiej dozie zależy dobry bieg pracy, podnoś jej poziom przedewszystkiem w swojem gronie, pociągaj opieszałych, pobudzaj przedsiębiorczych. Stwarzaj kontrast przez szlachetną rywalizację, a bezwzględnie dopniesz zmiany stosunków. Ale do tego musisz dobrać odpowiednich towarzyszy broni, którzyby chcieli i mogli iść z Tobą ramię w ramię. Trzeba umieć sprzymierzać się w dobrej sprawie, trzeba umieć stwarzać grupy zgranych pracowników pewnej idei, a nie zadowalać się chwilowemi zaszczytami, trzeba umieć ambicje swe zwrócić nie w kierunku jednostkowym, lecz ogólnym.

Aby dokonać zrzeszenia się w gromadę, trzeba posiadać nietylko zmysł organizacyjny, inicjatywę, siłą woli, lecz bodaj, że najbardziej ważną rzecz — mieć serce, owe mickiewiczowskie — patrzące w serce innych.

Niema bowiem wielkiej idei bez wielkiego zapału, bez zamiłowania.

Biorąc ludzi sercem, przyjaźnią, więcej za sobą ich porwiesz, niż inny darem wymowy i najlogiczniejszą argumentacją. Brak serdeczności, brak przyjaźni rozbijają nam całą pracę. Chłopcy nie lgną do siebie poza szkołą, zbiórkami, przygodnemi spotkaniami. Są obojętni sobie i nie zadają nawet trudu bliższego poznania swych dusz i upodobań. Ta obojętność, zdawkowość zabija najistotniejsze wymagania Harcerstwa — głęboką, rzetelną współpracę.

Drużynowy, zastępowy, który potrafi współżyć z chłopcami i przykładem, pracą intensywną skuć ich węzłami przyjaźni, jest według mego zdania najlepszym wychowawcą i najlepiej pojmuje istotę Harcerstwa.

Cóż jednak mogłoby się przyczynić do zbliżenia chłopców w zastępie, drużynie, hufcu, jeśli, naprzykład, mała ilość czasu, jaką kierownicy mogą poświęcić dla sprawy, czy też inne przyczyny stoją temu na przeszkodzie?

Rozwiązanie tego jest nader proste — ustawiczne czuwanie nad tem, by chłopcy jaknajczęściej obcowali ze sobą w codziennem życiu, by mogli mieć własny swój kąt, który niejednemu zastąpić może dom, by znaleźli w nim prawdziwe ognisko braterskie

Dziewczęta i chłopcy polscy! Harcerki i harcerze!

Wokoło nas ludzie ustawicznie szemrzą i narzekają. Mówią przytem bardzo wiele o oszczędzaniu, o planowości w gospodarowaniu pieniądzem... Mądrzą się, radząc ministrom i wszystkim, komu się da... I na tem się aby poprzestaje... Nasza zaś, a więc i Twoja droga musi polegać na czynie: czyn nasz nie może na ustach jeno być i w powietrznej rozpływać się fali.

Składajmy grosz do grosza!
Wszyscy pospołu!

Choć po jednym groszu tylko! A kto ich sto posiada, niechaj setkę złoży .. I tak codzień, przy każdej okazji, myśląc o tem w drużynie, w domu, w szkole. Pobudzajmy się wzajemnie, by pomóc Polsce naszej. 60 nas jest tysięcy. Niech każda i każdy z nas pobudzi do działania w tym duchu choćby jednego Polaka! Będzie nas szybko dwa razy więcej... I znowu wtedy przypuścimy szturm, aż kiedyś ogarniemy całą Polskę.

Składajmy do Harcerskich Kas Oszczędności i do Kas Państwowych.

Z ubiorów naszych zniknąć powinny wszelkie ozdoby i oznaki zbędne. Krzyż jeno godnie pierś zdobić musi. Nie kupujmy sznurów, ni wstęg barwnych, ani herbów suto haftowanych... Ani lilijek zdobnych. Każdy oszczędzi co nieco, ale pamiętajcie,

jest nas 60,000

Nie kupujmy słodyczy, ni zbytków nijakich. Niechaj szlak nas nie wiedzie poprzez kinowe krzesła i fotele.

Oszczędzajmy, oszczędzajmy:

to jest głos naszej Ojczyzny.

„A przyjdzie czas, że się skarbona napełni" i poczujemy iż w ciężkiej dla Matki chwili spełniliśmy swój synowski obowiązek!

i mogli nad sobą i innymi pracować. Kątem takim będzie w pierwszym rzędzie izba drużyny — ośrodek zainteresowań i życia harcerskiego. Ubogą jest ta drużyna, która nie potrafi stworzyć sobie tej podstawy.

Drugim, rozleglejszym środkiem zbliżenia mogą się stać kluby harcerskie, szerzej ujmujące zakres ogólnej pracy. Tu mogą promieniować ideje na całą chorągiew, tu młodzież pogłębia swe poczucie solidarności, obywatelstwa. Tu dokonywa się ewolucja pracy, powstają nowe myśli, prądy, nowe drogi. Tu wreszcie tętni życie gromady, tworzącej przez współpracę potęgę, jaką można wiele zdziałać w ubogiem niestety życiu młodzieży.

Klub jestto szkoła życia społecznego, zbiorowego, choć pojęcia o klubach są u nas dotąd dość jednostronne, powszechnie się bowiem rozumie pod tem słowem tylko miejsce rozrywkowe, lub o specjalnym, względnym zakresie, służące jakiejś zamkniętej grupie ludzi. Jednem słowem rozumie się klub przez wyłączność, kastowość i specjalność.

Jest w tem dużo prawdy, jeśli chodzi o formy organizacyjne, natomiast jeśli się mówi o jego przeznaczeniu, idei — nie można podciągać klubów pod ogólny konwencjonalny strychulec.

Kluby harcerskie (niech was to słowo nie przeraża, ani onieśmiela), będą istotnie kastowe, bo specjalnie nasze i dla nas. Nie wyklucza to, by członkowie ich nie mogli promieniować jaknajdalej naszym ogniem by w pewnych czasach otwierały się kluby dla obcych. Tak nawet się stanie po bliższej analizie istoty naszej organizacji, tak się stanie, kiedy zrozumiemy konieczność i potęgę życia koleżeńsko-społecznego.

Eryk Zieliński.

(Nawiązując do artykułu dh. Eryka Zielińskiego, podajemy druhom do wiadomości, że „Czuj Duch" podjął prace nad stworzeniem tak właśnie pojętego Klubu Harcerskiego. Bliższych szczegółów udzielimy druhom w niedługim czasie.

Narazie zwracamy się do wszystkich, aby zechcieli wyrazić swe zapatrywania na charakter klubu i czegoby spodziewali się odeń. Wymiana myśli ogromnie przyczyni się do zadzierzgnięcia ściślejszych serdeczniejszych stosunków między druhami - czytelnikami a „Czuj Duchem" i pozwoli nam na niejedne cenne zmiany. [Przyp. redakcji]).

Błędny okręt.

Żaglowiec o pojemności 1000 ton „Governor Paar" opuścił port Ingram w Nowej Szkocji we wrześniu 1923 r. wiozący ładunek do Buenos Aires. Dnia 3-go października tegoż roku, wskutek uszkodzeń, wywołanych burzą, załoga statek opuściła i odtąd rozpoczęła się jego tułacza wędrówka.

W listopadzie 1923 r. statek angielski „Saksonja" napotkał samotny żaglowiec. Wysłano doń na łodziach kilku marynarzy i stwierdzono, że ludzi niema tam żadnych, statek zanużony aż po pokład, jest w dość dobrym stanie, dwa maszty stoją, utrzymuje się zaś na powierzchni dzięki ładunkom drzewa.

Żaglowiec widziany był z kolei przez statek amerykański „Seneca" następnie przez statek „Tampa" w odległości 300 mil od miejsca w którym został opuszczony przez załogę. „Tampa" usiłował zabrać „Governor Qaar" ze sobą, ale zabrakło mu węgla i musiał zamiar porzucić. W lutym 1924 r. żaglowiec przybliżył się do brzegów Ameryki Północnej i widziany był przez „Majestic", statek należący do White Star Line. W czerwcu tegoż roku napotyka go parowiec amerykański „Olen". Maszt, kotwica i kabina na pokładzie są nienaruszone. W lipcu żaglowiec jest znów koło brzegów Portugalji, na drodze, którą jadą statki ku wyspom Kanaryjskim. Wysłany z Lizbony holownik ma polecenie zniszczenia go, ale z powodu burzy musi powracać do brzegów.

Dnia 6 sierpnia statek „Zaria", jadący do przylądku Dobrej Nadziei spotyka „Governor Paar", odbywający w dalszym ciągu swą wędrówkę po morzu. Czas jest piękny i załoga postanawia skończyć z tem widmem- podpalając go. Na suchych częściach rozlewają parafinę i zapalają na dwóch końcach, poczem „Zaria" puszcza się w dalszą drogę. Dnia 11 sierpnia statek „Unitali" stwierdza, że pożar trwa, lecz 13-go tegoż miesiąca przejeżdżająca „Iberia", że nic się nie pali, a widmo-żaglowiec trwa. Od tego czasu słuch o „Gevernor Paar" zaginął. Nie wynika jednak bynajmniej z tego, aby miał zatonąć. Prawdopodobnie prądy uniosły go tylko w okolice mniej uczęszczane.

W. Zagrodzki.

Praktyka morska.

Różowe niebo z wieczora —
Dla zemana dobra pora,
Lecz różowe niebo z rana —
Zła to wróżba dla zemana.)*

Gdy na brzegu mewa siedzi,
Mocno się marynarz biedzi —
I na złą czeka pogodę,
Póki ptak nie wejdzie w wodę.

Jeśli stawiąc żagle górne
Niebo wietrzne masz i chmurne,
To najpierw pamiętaj o tem,
Ciągnij je podwietrznym szotem.

Lecz, gdy stawiasz dolne żagle —
By ich wiatr nie podarł nagle
I byś o nie był bezpieczny
*Wybierz hals lub szot**) nawietrzny.*

*) zeman, marynarz w gwarze kaszubskiej. **) nazwy żagli.

archiwum

Życie harcerskie.

Ze względu na dużą ilość nadesłanych korespondencyj, Redakcja jest zmuszona opuszczać niektóre ustępy, aby umożliwić wszystkim wypowiedzenie się w Czuj Duchu.

Z wędrówki po Polsce tuzina poznańskich „piętaków".

I nie wiem, co milsze nad ludzkie wejrzenie?
Co czystsze nad wodę przeczystą?
Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie?
Co droższe nad ziemię ojczystą?

Z Poznania wyjechaliśmy koleją do Kielc i zwiedziwszy zabytki miasta i okolic, wyruszyliśmy pieszo w stronę Sandomierza. Pierwszego już dnia dotarliśmy drogą przez uroczy wąwóz mąchocicki do Św. Katarzyny" — miejscowości, położonej u stóp gór Świetokrzyskich. Góry te zwane także „Wysokogórami" są pasmem górskiem ciągnącem się na przestrzeni 40 klm od Kielc do Opatowa.

Wczesnym rankiem rozpoczęła się wędrówka poprzez góry. Mijamy olbrzymie rumowiska skalne, zwane „Goloborzami"; powab dziewiczego lasu, przez który się przedzieramy utrwala się nam na długo w pamięci. Szczytami doszliśmy do Św. Krzyża. Nazwa ta pochodzi od klasztoru z XIII wieku i wspaniałego kościoła, w którym przechowuje się jeden z największych kawałków krzyża św. Zabudowania klasztorne służą już od roku 1819 jako więzienie.

* * *

W drodze do Opatowa oglądaliśmy jedyny w swoim rodzaju las modzeniowy, okrywający boki „Chełmu". Szliśmy wśród olbrzymów, z których niejeden 1000 lat liczy; największy ma na wysokości 1 metra od ziemi — około 8-miu metrów obwodu.

* * *

Jechaliśmy Wisłą do Kazimierza. Cudowną 7-godzinną jazdę — urozmaiconą przepięknym widokiem okolic nadwiślańskich — zaliczamy do najpiękniejszych chwil wycieczki. Z daleka był widoczny Kazimierz, odznaczający się pięknem położeniem. Starożytne to miasteczko, założone przez krola Kazimierza dotąd zachowało budowle z czasów swej „młodości". Zdobne w bogate ornamenty domy w rynku, ładne spichlerze, sędziwe baszty i ruiny zamku — pamiętają owe czasy, kiedy złotą pszenicą sandomierską naladowane statki płynęły het na Bałtyk do zamorskich krajów, doprowadzając miasto do niebywałego rozkwitu i bogactwa"...

Kurs instruktorski Chorągwi Lwowskiej w Worochcie.

Od 8 lipca do 15 sierpnia obozowała w uroczej górskiej Worochcie nad Prusem gromada starszych harcerzy, drużynowych i przybocznych, uczestnicząca w dorocznym kursie instruktorskim. Wraz z instruktorami było 102 uczestników w dwóch drużynach I — instruktorskiej i II — drużynowych. Nie byli to jednak sami przedstawiciele Chorągwi Lwowskiej, ale także i Wołyńskiej z Równego, Kowla i Zdobunowa, Płockiej Warszawskiej, Śląskiej i zagranicznej — w osobie harcerza polskiego z Czerniowiec.

Program kursu obejmował dla drużyny instruktorskiej, zakres próby na przodownika, dla drużyny drugiej — kształcenie drużynowych. Zgodnie z tem dzień zapełniony był wykładami teoretycznemi: metodyki, administracji, wychowania obywatelskiego, ćwiczeniami praktycznemi, jakoteż wyszkoleniem wojskowem w zakresie I stopnia P. W, wreszcie wychowaniem fizycznem i grami, zdawaniem prób i sprawności.

Rezultatem przeprowadzenia programu, było dopuszczenie uczestników do próby przodownika oraz uzyskanie szeregu stopni i sprawności.

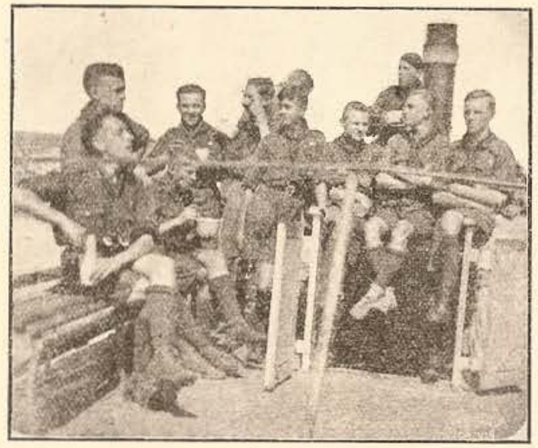

5-ka poznańska na statku wiślanym.

Uczestnicy mieszkali pod namiotami po 2 zastępy w każdym na obszernej i wesołej polanie nad Prusem u stóp wiaduktu kolejowego, jak to wiwać na fotografjach. Życie obozowe upływało mimo ciągłych niemal deszczów i zimna — wesoło i miło. Zajęcia tak były ułożone i uregulowane, że nie było czasu myśleć o tem, że deszcz pada, choć namioty nie były zbyt szczelne. Pożywienie mieliśmy zawsze obfite i dobre, dzięki pomocy grupy obozów wojskowych w sąsiednim Delatynie. Między instruktorami i szeregowymi wytworzyła się serdeczna i miła atmosfera, pełna zaufania i przyjaźni, jako, że znaczna część drużyny I — to byli chłopcy starsi i bardziej wrobieni. Także i między harcerzami z różnych środowisk zacierały się różnice i początkowa nieufność ustąpiła miejsca wielkiemu zaufaniu i serdecznej przyjaźni. Doskonale się wszyscy zżyli i poznali, tworząc zwartą i silną gromadę.

Gościliśmy przez tydzień kochanego naczelnika Głównej kwatery d-ha Sedlaczka, od nas wychodziła na swe liczne i brawurowe wycieczki w góry warszawska „dwudziestka", przez obóz przewinął się czcigodny ks. Ziemski ze swoją gromadą, którąśmy raczyli kolacją i obiadem, a i jeszcze kilka drużyn, i samotnych wędrowników odwiedzało nasze obozowisko w ciągu tych sześciu tygodni.

Czas upłynął wesoło, pożytecznie i nadzwyczaj miło. Jak zwykle żal było opuszczać i żegnać miłą Worochlę, która przez swych letników brała niemal udział w naszem życiu i opiekowała się nami, i tych naszych towarzyszy, którzy rozlecieli się po Polsce, i których może już nie ujrzymy.

Tylko nieznośny, uparty deszcz — największy wróg harcerzy — szkodził nam jak nigdy dotąd.

Obóz 1-ej i 8-ej Lwowskich Drużyn H. w Średniej Wsi.

Wspólnie spędziły lato 1-sza Lwowska i wyrosła z niej 8-ma Lwowska. Zajęły one domek, położony nad urwistym brzegiem Sanu w Średniej Wsi, koło Liska w Bieszczadach.*)

*) Część Karpat między Piennami a Gorganami.

Okolice karpackie, górzyste i lesiste gościły harcerzy przez cztery tygodnie. Było ich 25, starszych i młodszych chłopców. Mimo różnic wieku, żyli z sobą w wielkiej zażyłości, a różniła ich jedynie praca, jakiej się oddawali. Oto starsi tworzyli „Poltrup" — trupę mistrzów do wszystkiego. Ich to zasługą były urządzenia w obozie: stoły, ławki, półki, tablice z rozmaitemi napisami, boiska do zabaw i sportów, ponaprawiane parkany i t. d. Młodsi zaś mogą się poszczycić dziełem ozdobienia obozu, wytrwałej pracy nad kuchnią a nadewszystko pracą na roli u miłych gospodarzy obozu, pp. Sołonigów. Do przerzucania siana, zwózki snopów w czasie żniw garnęło się bractwo z takim zapałem, że często nawet poważny i dostojny „Poltrup" współzawodniczył z biszkoptami w tej pracy. Pozatem chodzili i wielcy i mali na wędrówki po bliższej i dalszej okolicy. Drużyna zwiedziła pobliskie szczyty, powędrowała wzdłuż Sanu, w głąb gór, podziwiała piękne ruiny klasztoru w Zagórzu, ruiny zamku Kmitów w Monasterze, Sanok z zakładami Zieleniewskiego, skały koło Liska i wiele innych, ciekawych rzeczy. A potem nastały „gorące" dnie prób sprawności. Serdecznie pociło się bractwo, chcąc uzyskać to lub owe kółko. Obóz prowadził drużynowy 8-ej Lwowskiej Władysław Medyński, przy współpracy dhów Machowskiego, Popielskiego i Jorkascha.

W czasie trwania obozu średniowiejskiego, wędrowała część chłopców z 1-ej Lwowskiej po Polsce, zwiedzając pod komendą druha Al. Szczęścikiewicza najpiękniejsze zakątki Rzeczypospolitej.

Prace kilimkarskie żeńskiej druż. im. Emilji Platerówny w Żninie.

Od druhny Józefy Kacperkowiakówny, drużynowej wymienionej drużyny odebraliśmy list, który w całości przytaczamy.

Staraniem K. P. H. założono przy tutejszej drużynie warsztat kilimów. Miał on spełnić trojakie przeznaczenie: 1) popierać przemysł ludowy, 2) wzbudzić szersze zainteresowanie dla drużyny, 3) stanowić stałe źródło zarobku dla starszych dziewcząt.

Projekt urzeczywistniono w maju b. r. sprowadzono warsztat, materjał i kilimkarkę — instruktorkę w tej pracy.

Wyniknęły stąd koszta, których nie zdołały pokryć opłaty za nauczanie 5 harcerek, znajdujących tu chwilowo zajęcie. Długi, uniemożliwiły postawienie pracowni odrazu na odpowiednim stopniu i przyczyniły wiele kłopotów K. P. H.

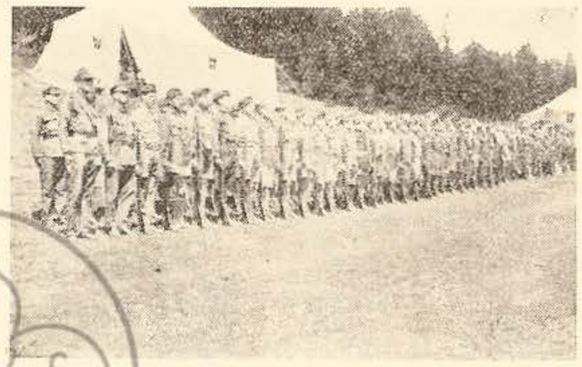

Prace kilimowe postępują normalnym tokiem: pierwsze były mierne, następne są lepsze. Obecne wyroby są naprawdę ładne, trwałe i dokładne. I znowu „lecz" — brak nam wzorów i nabywców. Kilka zamówień mamy, ale jak będzie w przyszłości? Materjał kosztowny, praca wymaga dłuższego czasu, a dziewczęta — zarobku; niełatwo te trzy warunki między sobą pogodzić.

Zwracamy się przeto z gorącą prośbą do „Czuj Ducha" i jego czytelników o pomoc. Mianowicie o nadsyłanie nam 1) wzorów na kilimy w postaci stylizowanych kwiatów, ozdób i wzorów ludowych i t. p., 2) skierowywanie zamówień na kilimy do tutejszej pracowni.

Żeńska Chorągiew Krakowska

zdobyła się w tym roku na dwa kursy letnie: instruktorski obóz pod namiotami i kurs dla drużynowych. Obydwa odbyły się w sierpniu w Jachówce pod Makowem.

Kurs dla drużynowych umieszczony w budynku szkolnym zgrupował młodsze drużynowe lub kandydatki na nie przeważnie z nowopowstałych drużyn prowincjonalnych Chorągwi Krak. Było ich 21 zorganizowanych w 3 zastępach. Celem kursu było dać młodziutkim druhnom możność poznania w całej pełni życia normalnej drużyny harcerskiej. Praca, prowadzona naturalnie w zastępach, obejmowała wszystkie możliwe działy życia harcerskiego, ćwiczenie zmysłów, gry polowe, ćwiczenia przyrodnicze, poznawanie mapy i rysowanie szkiców, gimnastyka wycieczki składały się na program dnia. Wieczory spędzano na gawędach i śpiewach — niestety, nie zawsze przy ognisku.

Gromadka zżyła się ogromnie a charakterystycznym dla kursu był pełen pogody i humoru nastrój. Prócz mniejszych wycieczek urządzono też 4-dniową na Babią Górę.

Obóz pod namiotami dla dziewcząt Chorągiew Krakowska zorganizowała po raz pierwszy.

Była to więc pewnego rodzaju próba, która wypadła wcale dobrze. Do obozu instruktorskiego zostały przyjęte w liczbie 25 przeważnie starsze druhny, już bywały na różnych kolonjach drużyn i kursach. Najwięcej czasu i energji pochłonęło, naturalnie, urządzanie obozu i zajęcia, związane z obozowaniem, zwłaszcza że deszcze i idące za tem wylewy utrudniały życie obozowi, umieszczonemu, niestety, nad rzeką, (a rzeki górskie bywają zdradliwe). W drugiej połowie kursu szły już normalnym biegiem ćwiczenia i gawędy obejmujące całokształt pracy harcerskiej.

Niektóre działy prowadziły na obu kursach jedne i te same osoby gdyż inaczej trudno byłoby dwa kursy dobrze obsadzić. Oba kursy dały dużo dziewczętom, o czem zresztą dopiero na podstawie ich pracy w drużynach będzie można sądzić.

Hufiec Żeński w Gnieźnie.

Rok minął niedawno od czasu, jak Kom. Chor. powołała z powrotem do życia nasz hufiec. Obejmuje on cztery drużyny: I. im. Królowej Jadwigi, do której należą dziewczęta starsze, pozaszkolne, II. im. M. Konopnickiej, ze szkół powszechnych, III. im. E. Platerówny, gimnazjalną i IV. Urszulki Kochanowskiej zuchów.

Pierwsze półrocze naszej pracy było bardzo ciężkie, wszystko rozbijało się o brak dobrej woli druhen.

Dziwnie bo nie podatny grunt w naszem mieście dla harcerstwa. Postanowiłyśmy jednak iść przebojem. W dniu 23-go listopada 1924 roku obchodziłyśmy uroczyście sprowadzenie zwłok Sienkiewicza. Prócz harcerek było jeszcze kilka osób życzliwych. 28 grudnia tegoż roku urządzono „herbatkę gwiazdkową" dla Hufca, by przełamać się opłatkiem na wspólną pracę. A praca — wlokła się. Raz po raz jakieś zatargi z dziewczętami, jakieś przykre nieporozumienia z szarżami itp.

Nowy rok 1925 przyniósł jednak trochę otuchy. Postanowiłyśmy urządzić „Wieczornicę" dla ogółu, by pokazać się ludziom. Nadspodziewanie ochoczo zabrały się do pracy i przez trzy tygodnie aż wrzało w naszym Hufcu. Za to „Wieczornica" 15-go lutego 1925 r. była bez „ale". Dałyśmy jednoaktówkę: „Święć się, święć się, wieku młody"; „Za służbę" Ujejskiego, jako obrazek sceniczny; deklamacje, pląsy, tańce rytmiczne, śpiewy solowe i chórowe przeplatały te dwa główne punkty. Po „Wieczornicy" była zabawa. Krok ten śmiały i trudny

archiwum

zdziwił nasze „społeczeństwo". Nie spodziewało się, że coś potrafimy zrobić, a tembardziej coś ładnego. Była o nas bardzo pochlebna wzmianka w „Lechu" i zachęta do dalszej pracy: Największą jednak korzyścią było nasze zadowolenie wewnętrzne i zżycie się przy tej pracy z druhnami. No i dochód miałyśmy względnie dobry, o czem w dzisiejszych czasach nie zapomina się przecież. Wybrnęłyśmy dzięki temu z długów, opłat zaległych i t. p. No i cicho, a skromnie, szłyśmy dalej. Małe wycieczki, spacery, gry i zabawy zapełniały nam czas, pozostały od poważniejszych rzeczy. Postanowiłyśmy też za wszelką cenę urządzić kolonję. Ponieważ fundusz gra tu wielką rolę, trzeba było go zebrać. Uradzono „Tydzień Harcerza" o pięknym programie, lecz czy lekkomyślność, czy też zła wola nie pozwoliły go wykonać pozostanie zagadką. Trzeba było jednak coś zrobić. Więc do K. P. H. udałyśmy się wreszcie. Dostałyśmy pożyczkę; jedna dziura załatana, a dalej? Trzeba było miejsca na kolonję. Po długich tarapatach dostałyśmy Szkołę Rolniczą w Chodzieży ku wielkiej naszej radości, no i w lipcu urządziłyśmy kolonję. Uczestniczek było 15-cie zaledwie, czuły się jednak dobrze, mamy więc nadzieję, że słysząc ich opowiadania rodzice innych druhen nie zabronią im w przyszłym roku, tak jak w tym, wziąść udziału w kolonji.

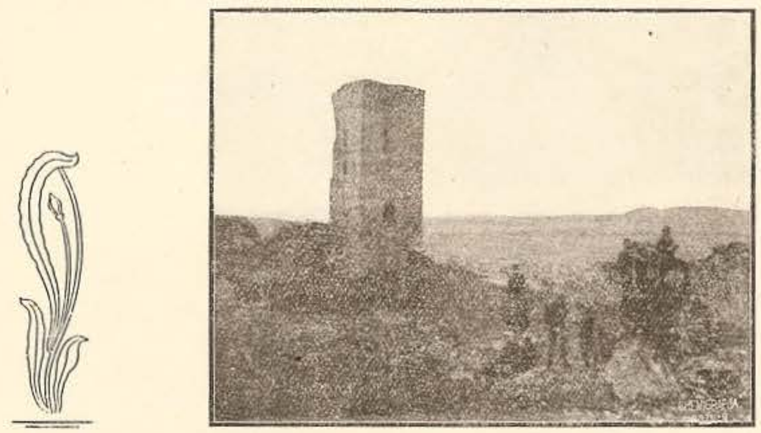

Ruiny w Chęcinach. (Z wycieczki 5-ki Pozn.)

We wrześniu łącznie z uroczystościami Chrobrego odbył się tydzień Harcerza, ten projektowany przed wakacjami (w karykaturze). Za wiele było naraz uroczystości, wobec czego nie było nas wcale widać.

Tak ciągniemy ten łańcuch goryczy harcerskich za sobą. Jeśli Kuma Troska będzie względna, przyślemy wam wkrótce weselsze wieści o sobie. To pierwsze nudziarskie gadulstwo wybaczcie sercom przepełnionym po brzegi goryczą. Obiecujemy solennie poprawę, co mamy nadzieję zmniejszy naszą winę.

Erka.

Rozwiązanie kwadratu z pytajnikiem.

W podanem w N-rze 7/8 „Czuj Ducha" zadaniu, na które napłynęło zewsząd sporo listów chodziło o przenośnię, niestety przez nikogo nie odgadniętą.

Przyznać się musimy, że chcieliśmy przytem upiec dwie pieczenie: a) pobudzić D-hów do odgadnięcia myśli przewodniej kwadratu, b) skorzystać i zużytkować pomysły nadsyłane w następnych zadaniach.

Stało się inaczej i oto musimy sami ujawnić sens kwadratu.

Założenie jest takie:

Kwadrat — to izba harcerska, skupiająca w sobie życie wewnętrzne drużyny.

Pytajnik oznacza: a) jaka izba ta być winna, aby jaknajlepiej odpowiedziała swemu celowi.

b) jakiemi drogami powinni dążyć członkowie drużyny, aby z pomyślnym skutkiem osiągnąć zamierzenie.

Zatem — wyjaśniwszy istotę zadania, przedłużamy termin odpowiedzi jeszcze na jeden miesiąc t. j. do 1. I. 1926 r.; teraz czas na dobre i pożyteczne dla pracy harcerskiej rozwiązania, które uwieńczy w dodatku zupełnie realna nagroda z naszej strony.

Znaczenie wyrazów krzyżówki z nr. 9.

Wyrazy poziome: 1. Tara, 3. Narada, 5. Kim, 7. Iks, 9. Rak, 11. Woń, 13. Raport, 15. Klimat, 17. Szyky, 19. Płat, 21. Aar, 23. Bzy, 25. Komo, 27. Boa, 29. Wraz, 31. Mia, 33. Kain, 35. Ski, 37. Hel, 39. Anna, 41. Puder, 43. Ida, 45. Oda, 47. Kres, 49. Prowodyr, 51. Uri, 53. Kartuzy, 55. Tor, 57. Djana, 59. Suma, 61. Korea, 63. Werona, 64. Szron 67. Karo, 69. Tyrol, 71. Gazda, 73. Ser, 75. Ka, 79. Kura, 81. Megera, 85. Legun, 87. Viadukt, 89. Żar, 91. Alt.

Wyrazy pionowe: 2. Biedak, 4. Szala, 6. Kort, 8. Artysta, 10. Ryk, 12. Refren, 14. Bok, 16. Akta, 18. Kora, 20. Manru, 22. Kir, 24. Inez, 26. Kark, 28. Masyw, 30. Tan, 32. Skalp, 34. Ikar, 36. Pita, 38. Aurora, 40. Kra, 42. Kara, 44. Matador, 46. Ornat, 48. Zawrat, 50. Dno, 52. Skott, 54. Troja, 55. Koń, 58. Bujda, 60. Londyn, 62. Karara, 64. Spata, 66. Paw, 68. Szczaw, 70. Ar, 72. Urodzaj, 74. Rasa, 76. Umowa, 78. Koran, 80. Iri, 82. Też, 83. Akt, 84. Gaj, 86. Mur, 88. Ren, 90. Urugway, 92. Korejwo, 94. Ara, 96. Ada, 98. Ulm.

Dobre rozwiązanie krzyżówki z P. nadesłali: C. Brzozowski, J. Cyrankowski, P. Gill i M. Maciejewicz.

Nagroda, w postaci książki Jack Londona „Opowieści mórz południowych", przypadła drogą losowania dhowi M. Maciejewiczowi z Poznania.

Liga Morska i Rzeczna, ogłasza konkurs na napisanie noweli wielkości od 150 do 250 wierszy osnutej na tle morza. Nowela winna być zaopatrzona godłem i nadesłana przed dn. 30. 1. 1926 r. do Ligi Morskiej i Rzecznej (Warszawa Elektoralna 2). Pierwsza nagroda 500 zł. druga 300 zł. trzecia 200 zł. Do jury konkursowego zostali zaproszeni najwybitniejsi teoretycy literatury polskiej. Liga M. i R. zastrzega sobie prawo pierwodruku nagrodzonych i odznaczonych nowel w czasopiśmie swem „Morze".

Przygody polskiego harcerza w Afryce.

3)

Skradzione djamenty.

Szwabik zbudził się dość wcześnie i właśnie kończył wiązanie krawata, kiedy zastukano do drzwi i odezwał się Lewandowski:

— No co, idziemy na śniadanie?

— Dzień dobry! Już idę.

Razem więc zeszli na śniadanie. Lewandowski widocznie rozpakował swe graty, gdyż ubrany był w czyściutkie białe ubranie, nie różniące się niczem od strojów innych Europejczyków w kolonjach. Nieodstępny Pikuś towarzyszył im przy śniadaniu, po śniadaniu zaś Lewandowski poprosił Szwabika do swego pokoju, zamknął drzwi na klucz, wyjrzał oknem na ogród, przytknął oko do dziurki od klucza i kazawszy Pikusiowi warować pod drzwiami, stanął z tajemniczą miną przed harcerzem.

— Muszę się z panem naradzić Niech się pan nie dziwi, ale skoro się pan dowie, co ja noszę z sobą, przyzna mi pan rację, że coś z tem trzeba zrobić.

Tu Lewandowski otworzył swą nieodstępną walizeczkę i wyjął z niej kilka pakiecików owiniętych w papiery. Pokładawszy je na stole, zaczął je kolejno rozwijać, wydobywając z nich zwitki kanknotów i dwie blaszane puszki z tytoniu, z których wysypał na stół kilkadziesiąt większych i mniejszych kamyczków, napozór wyglądających na kawałki kryształu górskiego. Były to djamenty, wydobyte w działce Lewandowskiego w Kimberley.

— To wszystko, co tu leży na stole, warte jest u nas ponad dwa miljony. Tylko bieda, co z tem zrobić. Oddać do banku na przechowanie niebezpiecznie, bo dziś wojna, kto to wie, co może być. Trzymać przy sobie i nosić w walizce, jak dotąd nosiłem, też niebezpiecznie, bo z walizką mogą wyrwać mi z ręki cały mój majątek. Nie wiem co zrobić, może mi pan co poradzi?

— Hm ..

Nie umiał na to odpowiedzieć, zaskoczony tym skarbem, który leżał przed nim na stole. Na to pan Lewandowski:

— Żeby choć teraz schować to gdzieś w pewnem miejscu, jak długo będziemy tu siedzieli; potem już będziemy jakoś sobie radzić.

Zaczęli rozmyślać nad tem i doszli do wniosku, że najlepiej będzie ukryć w hotelu, w miejscu, gdzie nikt nie będzie tego się spodziewał; przedewszystkiem chodziło o ukrycie djamentów. Rozglądając się po pokoju, zauważył Szwabik szafę, ustawioną w ten sposób w kącie, że tworzyła przeciwprostokątnię kąta utworzonego przez schodzące się ściany. Poza szafą znajdowała się wolna przestrzeń; ponieważ szafa stała wprost na podłodze bez żadnych podpór, nie można było nic dojrzeć, ani wydostać z poza szafy, chyba tylko górą. Wskazał więc ten schówek Lewandowskiemu, któremu pomysł wydał się dobry. Przystawił więc krzesło do szafy i wlazłszy na nią, przekonał się, że schówek w zupełności odpowiada wymaganiom. Przy tej sposobności pobrudził sobie ręce i kolana kurzem, leżącym na szafie od niepamiętnych czasów, co jeszcze bardziej utwierdziło go w zaufaniu do wynalezionej kryjówki.

Zrobili teraz jeden wielki pakiet zawierający djamenty i pieniądze. Przedtem jednak Lewandowski odliczył dwie paczki banknotów po 500 funtów, z których jedną sam zatrzymał, drugą zaś wręczył Szwabikowi, twierdząc, że różnie może wypaść, a bez pieniędzy jednak człowiek jest głupi, jak młody pies. Pakiet obwiązali sznurkiem i spuścili za szafę, uwiązując koniec sznurka do szpilki, wbitej w górną krawędź szafy, tak, aby pakiet można było każdej chwili wyciągnąć.

Ubezpieczywszy w ten sposób skarb, wyszli z Pikusiem z hotelu, aby dowiedzieć się czegoś o wojnie. Z gazet miejscowych jednak i Salomon nie dowiedziałby się niczego, bo gdy jedne zapowiadały, że Afryka wschodnia będzie terenem krwawych walk, gdyż Anglicy na nią uderzą w najbliższym czasie, inne zapewniały, że na mocy aktu kongijskiego kolonji nic nie grozi. Pewnikiem była tylko mobilizacja Austrji, Niemiec, Rosji i Francji. Nie mając nic lepszego do zrobienia obaj przyjaciele postanowili, zwiedzić miasto. Zaczęli od wzorowego ogrodu koło europejskiego szpitala, zawierającego mnóstwo wspaniałych, a jak dozorca upewniał rzadkich roślin egzotycznych. W wędrówce po wysadzanych akacjami ulicach Dares zaszli aż na plac ćwiczeń, gdzie mustrowała się właśnie jakaś kompanja czarnych „askari" pod wodzą czarnych i białych podoficerów. Bardzo ich bawiły niemieckie komendy czarnych wołających zamiast: „Augen rechts!",[1]) „Augeni leksi" i przekręcających podobnie wszystkie słowa. Wśród żołnierzy, a szczególniej wśród podoficerów zauważyć można było wielu Sudańczyków, sprowadzonych jeszcze przez Wissmana przed kilkudziesięciu laty z Sudanu.

W drodze powrotnej do hotelu zawadzili o halę targową, zwaną „Sokoni", pokrytą blaszanym dachem, pod którym panowało takie gorąco, że chyba tylko murzyni mogli tam wytrzymać. Panował tu piekielny zgiełk i wrzawa nie do opisania. Murzyni, Arabowie, Hindusi, kobiety murzyńskie w jaskrawych chustach, z ogromnemi zausznicami i bransoletami, dzieci, kury, psy, wszystko to krzyczy, biega, kręci się, targuje, bije, śmieje się z żywością, napotykaną w Europie chyba u Włochów. Sprzedawano tu przedewszystkiem, artykuły spożywcze, a więc mięso, drób, gołębie, jaja, topione masło, zwane „Samli", „mohogo", czy kartofle murzyńskie, „mtama" (proco murzyńskie), „maboga" (rodzaj dyni), „kalanga" (orzeszki ziemne) i najrozmaitsze owoce. Co chwila któryś z przekupniów zwracał się do przechodzących z pytaniem: — Unataka kinunua kitu, bwana?[2]) Przed natrętnem nagabywaniem z ich strony bronił przyjaciół Pikuś, na którego spoglądali z należytym respektem, nazywając go to simba,[3]) to chui,[4]) a nawet nyani.[5]) Widocznie poczciwi handlarze z Dares znali te bestje tylko z nazwy.

Gdy tak wolno przechadzali się wzdłuż straganów, naraz Lewandowski na widok jakiegoś idącego naprzeciw Europejczyka krzyknął — Hola! Walliser! A ten drab co tu robi?

Człowiek, nazwany Walliserem, ujrzawszy go, zawrócił na pięcie i szybko wpadł w tłum. Szwabik zdążył tylko zauważyć jego rude włosy. Lewandowski puścił się za nim, Szwabik także, chociaż nie wiedział o co chodzi. Obok nich biegł szczekając Pikuś. Naturalnie natychmiast dookoła zaczęło się zbiegać mnóstwo gapiów i już w parę chwil, była cała trójka otoczenia tłumem czarnych, zrezygnowali więc z pościgu i zadyszani, spoceni stanęli na rogu hali, uwięzieni niemal w gromadzie kolorowej halastry. Dopiero czarny policjant oswobodził ich z tej sytuacji, rozpędzając tłum kijem. Teraz

[1]) Na prawo patrz!
[2]) Co pan chce kupić?
[3]) Lew.
[4]) Lampart.
[5]) Pawian.

archiwum

dopiero zapytał Szwabik, kim jest ten człowiek, który uciekał przed nimi i którego gonili.

— Panie, to drab, który mnie obrabował w Kimberley, o mało mnie nie zarżnął — pokażę Panu bliznę po jego nożu. Zamknęli go w więzieniu, ale widocznie zwiał i teraz kręci się tutaj. Nie mam pojęcia, czego on tutaj szuka, w każdym razie spotkanie Wallisera nic dobrego nie wróży.

— To trzeba zaraz policję uwiadomić!

— Najpierw pójdziemy do hotelu, boję się o moje rzeczy. Z chwilą, kiedy Walliser tu jest, człowiek nie jest pewny ani dnia, ani godziny.

Skierowali się więc do hotelu, po drodze zaś opowiadał Lewandowski nieco o Walliserze. Był to rzezimieszek, grasujący dookoła kopalń w Kimberley i rabujący górników, którym udało się znaleść w swych działkach drogocenne kamienie. Pewnego wieczoru napadł i na Lewandowskiego, wracającego z gospody. Napadnięty ocalenie swe zawdzięczał grubemu portfelowi na piersiach, no i nieodstępnemu Pikusiowi. Nóż, wymierzony w serce, ześlizgnął się po portfelu, kalecząc tylko bok, a Pikuś rzucił się na napastnika i przewrócił go na ziemię. Na krzyk rannego nadbiegli przechodzący w pobliżu górnicy, którzy ujęli zbrodniarza i odstawili go do policji. Na rozprawie sądowej Walliser skazany został na 12 lat ciężkiego więzienia, jednak teraz niewiadomo jakim sposobem znalazł się tu w niemieckiej kolonji.

W hotelu czekała ich nowa niespodzianka. Już w przedsionku zatrzymał ich dyrektor i zawiadomił, że jako cudzoziemcy mają niezwłocznie stawić się z wszystkiemi dokumentami w biurze policji. Ledwie zdążyli zabrać papiery, a już czekał na nich boy hotelowy, który ich doprowadził do biura policji. Tutaj w poczekalni, wciśnięci pomiędzy kilkuset ludzi różnych narodowości przesiedzieli do godziny dziewiątej wieczorem, głodni, źli i zmęczeni. Szczęściem Lewandowski postarał się o sucharki, które podzielili między siebie i Pikusia. Wreszcie dopuszczono ich przed oblicze urzędnika, który stwierdziwszy, że są poddanymi sprzymierzonego z Niemcami państwa, zwolnił ich, upewniając, że mogą czuć się tutaj, jak u siebie w domu. Ponieważ Szwabik mówił lepiej po niemiecku niż Lewandowski, zwrócił się zaraz do tego urzędnika ze sprawą Wallisera, ale ten skierował go do wachmistrza policji, znajdującego się w sąsiednim pokoju.

Nie tracąc czasu, stanęli zaraz przed tym dygnitarzem, barczystym blondynem ogromnego wzrostu z przenikliwie świdrującemi szaremi oczyma. Zaczął mu zaraz Szwabik po niemiecku tłumaczyć całą sprawę, gdy ten przerwał, mówiąc po polsku.

— Panowie są Polacy, niech mówią po polsku. Jestem ze Śląska i umiem mówić po polsku. Widząc zaś ich zdumienie i nieme pytanie w twarzach, skąd on to wie, dodał:

— O, policja musi wszystko wiedzieć, nieprawdaż? Zresztą tutaj nie ma aż tak wielu Polaków, żeby o nich nie wiedziano. Szwabik pomyślał sobie, że policja powinna była również wiedzieć, że jest austrjackim poddanym, ale tymczasem Lewandowski zaczął opowiadać wachmistrzowi o Walliserza i o dzisiejszym spotkaniu, poczem wachmistrz zapytał:

— Jak on wygląda?

— Wysoki, dobrze zbudowany, włosy rude, twarz obrzękła, czerwona.

— Oczy?

— Zdaje się ... nie, dokładnie nie wiem. Wachmistrz uśmiechnął się pobłażliwie.

— Specjalne znaki?

— Nie pamiętam ... Ach, tak, przypominam sobie bliznę od noża, czy od kuli poniżej lewej skroni.

— Tak, blizna poniżej lewej skroni ... powtórzył wachmistrz w zamyśleniu, popatrzył chwilę w okno, pogwizdując przez zęby, potem naraz zerwał się, pobiegł do szafy, przerzucił kilka książek i za chwilę wrócił do stołu z albumem.

— Czy to ten? — zapytał Lewandowskiego, wskazując palcem jakąś fotografję.

— Tak, to Walliser, jak Boga kocham, w pieklebym poznał tę fizjognomję!

— Ten Walliser nazywał się tutaj Billy Morgan i przed trzema laty, właśnie kiedy tu przybyłem, wymordował całą rodzinę Goanezów,[1]) posiadającą sklep jubilerski w Bagamoyo, i obrabowawszy sklep doszczętnie, umknął nam wraz ze swymi wspólnikami. Fotografję otrzymaliśmy od policji angielskiej, która go też poszukiwała swego czasu. Ale teraz postaram się go dostać w ręce. Zaraz uwiadomię wszystkie posterunki policyjne, panowie zaś niech jutro rano tu przyjdą, do mnie, wachmistrza Jureckiego.

Przywoławszy warującego w poczekalni Pikusia wracali przyjaciele zadowoleni do hotelu. Postanowili tylko umyć się i przebrać i zaraz zejść się w jadalni hotelu, bo byli już potężnie głodni. Po drodze uspokoili dyrektora hotelu, że papiery ich znaleziono w policji w porządku i poszli do swoich pokojów.

Zaledwie Szwabik zaczął się myć, gdy naraz do pokoju wpadł blady i zmieszany Lewandowski.

— Panie Szwabik, niema djamentów, przepadły!

— Jak? co? kiedy?

— Ano, niema i już!

Szwabik narzucił na siebie bluzkę i wbiegł za Lewandowskim do jego pokoju. W jednej chwili był na szafie, chwycił za sznurek i... zamiast pakietu, uwiązanego na końcu sznurka, wyciągnął kartkę, na której niezdarnemi literami widniały napisane niebieskim ołówkiem słowa:

„Revange for Kimberley".[2])

[1]) Goanezi, mieszkańcy Goa w Indjach Wschodnich, posiadają w sobie dużo krwi europejskiej. Trudnią się przeważnie handlem, z pośród nich również rekrutują się drobni urzędnicy faktoryj na brzegach Oceanu Indyjskiego, zarówno w Azji, jak i w Afryce.
[2]) Odwet za Kimberley.

(C. d. n.).

Akrostych panegiryczny.

Luby, cichy przybytku, czczony przez kurs wszystek —
Albowiem w tobie siła życiowa spoczywa —
Tobie w hołdzie należnym składam lauru listek
Radością na twój widok wzbiera dusza tkliwa...
Ymka nawet w obozach cię nie czci, jako my
Nikt się też tutaj z ciebie nie śmieje, nie „zrywa"—
Ale całkiem przeciwnie, czci ... w sposób wiadomy.

Na cześć czego panegiryk ów napisany, znajdą Czytelnicy odpowiedź w nim samym, byleby się tylko uważnie całości przyjrzeli.

Konkurs ogłoszony przez Wydział Morski przy Kom. Chor. Z. H. P. na rozsprzedaż znaczków propagandowych, na zakup I Statku Harcerskiego.

1. Każdy, kto rozsprzeda absolutnie największą ilość znaczków do 1 lipca 1926 r., otrzyma dyplom członka honorowego załogi I Statku Harcerskiego, oraz prawo odbycia za darmo jednej podróży morskiej.

2. Każdy, kto rozsprzeda ponad 10 000 znaczków, otrzyma prawo podpisu aktu poświęcenia statku, oraz prawo odbycia wycieczki morskiej. (Jeżeli dokona tego pewna grupa, to cała grupa otrzymuje te prawa).

3. Każdy, kto rozsprzeda ponad 1 000 znaczków otrzyma zaproszenie na uroczystość poświęcenia statku.

Po informacje i warunki udziału w konkursie należy się zwracać do Wydziału Morskiego, Poznań, Towarowa 23 p. 45.

Eryk Zieliński.

KLUB SREBRNYCH CZUWAJÓW.

1]

Deszcz lał od dwóch dni. Woda przelewała się strumieniami w rynnach, dudniąc przeciągle, tłukła się po szybach długiemi warkoczami, rozpryskując i spływając na bruk ulic po rozmokłych murach.

Wicher jesienny szarpał obnażonemi drzewami, które zziębnięte w bezsilnych podrygach połyskiwały śliską powłoką w migotliwych płomieniach gazowej latarni.

Julek patrzał w ciemną, beznadziejną dal ulicy.

Na ulicy nie było żywej duszy.

Nikt nie miał odwagi wychodzić na zdradliwą pogodę. Zrzadka tylko dorożka zachybotała mętnym błyskiem latarek po wyboistym bruku i, ciągniona przez znakomitą szkapę, potoczyła się w nieznanym kierunku.

— Podły czas, mruknął Julek.

Dreszcz nagły przeszedł go po ciele. Zaciągnął nagłym ruchem storę i podszedł do kominka.

Na olbrzymiej skórze niedźwiedziej leżał Milord. Podniósł leniwie łeb, zamachnął puszystym ogonem i znów patrzył w ogień, wyczarowując w swej psiej duszy nieuchwytne wizje.

Julek rzucił się apatycznie na otomanę. Patrzył na łamiące się w ogniu drwa, od których spływało rozleniwiające ciepło.

Nudził się. Nie mógł się dziś jakoś uczyć. Nastrój dnia źle wpływał na jego usposobienie.

Nagle zbudził go z zadumy dzwonek telefonu w gabinecie ojca.

— Tu Krzemieniecki Juljan.
— A to dobrze! Czuwaj!
— Czuwaj! Kto mówi?
— Członek Klubu Srebrnych Czuwajów.
— Kto?... Czego?...
— Dziś wieczór jestem u Ciebie. Czekaj!
— Ale kto?...
— Czuwaj!

Charakterystyczny trzask rozległ się w tubce — rozmowa została przerwana.

— A bodaj cię, mruczał, cóż to do licha za incognitus? Klub? — Srebrnych Czuwajów? A cóż to za kombinacja?

Zaczął chodzić po pokoju zaintrygowany. Irytował się sam na siebie, że go ta myśl opanowała i wytrąciła z praktykowanej zimnokrwistości.

Drzwi się uchyliły. Na progu stanęła pani Krzemieniecka.

— Dzwonił kto?
— Tak.
— Kto?
— Nie wiem.
— Jakto? Odbierałeś telefon?
— Do mnie.
— Nie rozumiem.
— I ja także. Ktoś, co kazał mi na siebie czekać, a nie mówił, kim jest.
— To szczególne. Ale chodź na kolację.

Na dźwięk „kolacja“ Milord leniwie wstał, przeciągnął się i zwolna podszedł do drzwi.

Kolacja płynęła w milczeniu. Julek jadł niewiele.

Po herbacie wstał i wyszedł do korytarza.

— Wychodzisz? Na taką pogodę?
— Chciałbym widzieć Władka. Odrobimy razem zadanie.
— A jakże będzie z owym nieznajomym?
— Kawał zapewne...

Nie chciał się przyznać, jak go to intrygowało. Chciał się właśnie doświadczyć.

— Wolałabym żebyś nie wychodził.
— Ależ mamo, nie jestem z cukru.

Na ulicy ogarnęła go ciemność. Deszcz siekł po twarzy, wiatr podrywał płaszcz nieprzemakalny. Zimno nagle przeniknęło Julka do kości.

Otulił się szczelniej, nasunął czapkę na oczy i szedł, omijając kałuże, ledwo widoczne w niepewnem świetle latarni.

Władka nie zastał w domu. Był na korepetycji. Nie chciało mu się czekać.

Wracał Alejami.

Oko jego uderzyły światła kina.

Przez oszklone wejście ujrzał znudzoną twarz kasjerki i ziewającego biletera. Julkowi zrobiło się naraz niesłychanie nudno i senno. Zapragnął ogromnie znaleść się w tej chwili w swoim pokoju, rzucić się z Milordem na otomanę i grzać się przy kominku.

Minął zziębniętego gazeciarza, zaglądającego przez szyby da kina, wcisnął głowę w kołnierz i przyspieszył kroku.

Na skręcie Aleji w zagłębieniu stała zdradziecka kałuża, niczem nie różniąc się od chodnika. W nagłym odskoku znalazł się tuż przy jezdni, wpadając na idącego naprzeciw przechodnia.

Cofnął się szybko i markując ręką uchylenie czapki mruknął:

— Przepraszam.

Mijał przeszkodę. Nie uszedł kroku, gdy nad uchem jego rozległo się:

— Czuwaj!

Uderzył go znajomy dźwięk głosu.

Spojrzał zdziwiony na przechodnia i bezwiednie zatrzymał się.

Przechodzień uśmiechnął się tajemniczo.

— Skąd ja go znam? — pomyślał rzuciwszy nagłem spojrzeniem na nieznajomego.

Myśl natężenie pracowała w mózgu, lecz w żaden sposób nie mogła skojarzyć się z osobą nieznajomego.

— Gdzie ja tego człowieka widziałem?
— Julek? zapytał przechodzeń.
— Tak! Ale z kimże...

To już było ostatecznie irytujące.

— Wyszedłem naprzeciw, boś nie raczył zaczekać na mnie.
— Ach, to — Członek Klubu!
— Srebrnych Czuwajów, podchwycił nieznajomy.

Julek podał mu wahająco rękę.

— Czuwaj!
— Chodźmy więc.

Poszli, milcząc, w kierunku domu Julka. Próżno pracował myślą i pamięcią. Gdzież on go do licha widział? Czy wogóle go widział? Przechodzili obok latarni. Snop światła padł na twarz nieznajomego. Julek rzucił w bok nieznaczne spojrzenie.

Serdeczny śmiech był mu odpowiedzią.

— Zaintrygowałem cię, prawda? Albo masz krótką pamięć, albo niedomyślny. Ja poznałem cię odrazu, a raczej wyczułem...

— Stefek!... No, niechże cię kule biją!

Na ten nagły okrzyk, przechodząca obok babina obejrzała się trwożliwie i przyspieszyła kroku.

— Skądżeś się wziął! Czemuż mi nic nie pisałeś!
— Nie lepiej, że osobę widzisz, co?
— Chyba, chyba, ale chodźmy prędzej, niech ci się przyjrzę.

Zatrzymał go, pod latarnią i spojrzał w twarz.

— A niech cię, jak ja mogłem cię nie poznać!

Przyśpieszyli kroku i w niespełna kwadrans przybyli do domu Julka.

Otworzyła im pani Krzemieniecka.

— Spotkał go pan?
— Skąd mama zna Stefka?
— Oh, my zdążyliśmy się już poznać.
— Gdzie? Kiedy? zdumiewał się Julek.
— Później, później, rozbierz lepiej gościa, po podróży na takiem powietrzu może się łatwo zaziębić.
— Ależ bynajmniej... oponował Stefan.
— Otóż to, troskliwość mojej mamy — czasem aż rozpacz ogarnia...

Wprowadził Stefka do siebie.

Gość stanął na progu i rozejrzał się po pokoju.

— A więc to twoje asylum?
— Tak, moja samotnia! Ale pokażże mi się, bom cię ogromnie ciekaw, ileż to lat cię nie widziałem...

Pociągnął go na środek pokoju, naprzeciw lustra i obracając jak manekin, kręcił głową.

— Ho, ho!... Ho, ho!...
— Cztery lata niespełna! Ale cóż mnie tak oglądasz, jak konia na jarmarku — ofuknął go ze śmiechem.
— Udało mi się, odrzekł Julek, a teraz witam cię naprawdę.

Wyciągnął rękę. Stefan milcząc podał mu swoją. Spojrzeli sobie głęboko w oczy. Szerokim ruchem otworzył ramiona.

— Daj gęby.

Pocałowali się po bratersku.

— No, siadaj teraz, chłopaku, i gadaj mi zaraz co się z tobą działo. Kiedyś wrócił? (C. d. n.)

archiwum

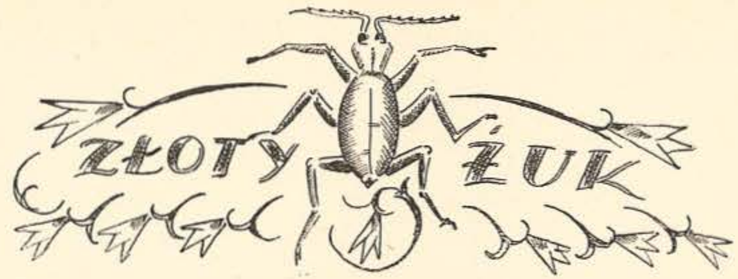

Edgar Allan Poe.

3]

— Co ty mówisz — naprawdę? — Koniec końcem mnie się zdaje, że lepiej zrobisz, jeśli nie będziesz nazbyt srogi dla tego biedaka. Nie trzeba go tykać, Jup! Być może, iż nie zniósłby tego. — Ale czy nie przychodzi ci na myśl, co mogło spowodować tę chorobę, a raczej tę zmianę w usposobieniu twego pana? Czy nie miał jakiej przykrości od czasu, jak się z wami widziałem?

— Nie, massa, potem nic przykrego się nie zdarzyło. Ale boję się, czy przedtem... tego samego dnia, kiedyście, panie, byli u nas.

— Co takiego? Co ci się zdaje?

— No, tak, massa, myślę, że to ten chrząszcz — —

— Co znowu?

— Ten chrząszcz — jestem przekonany, że mego Will'a ugryzł gdzieś w głowę ten złoty chrząszcz.

— Skądże ci przyszło do głowy takie przypuszczenie, Jup?

— Bo ma dosyć kleszczy, massa, a i pysk niezgorszy. Jeszczem w życiu nie widział takiego dyabelskiego robaka — łapie i gryzie wszystko, co mu się naiwnie. Massa Will pierwszy go chwycił, lecz wnet puścił, słowo daję... i to wtedy pewnikiem go ugryzł. Mnie się jakoś odrazu nie podobał ten chrząszcz i jego pysk, to też nie sięgnąłem po niego palcami, alem znalazł kawałek papieru i takem go złapał. Owinąłem go w papier i wepchnąłem mu kawałek papieru do pyska — takem to zrobił!

— Więc myślisz, że twego pana naprawdę ugryzł ten owad i że od tego ukąszenia on się rozchorował?

— Ja nic nie myślę — gdzieby tam! Ino dlaczego śni mu się ciągiem o złocie, jeśli go nie ugryzł ten złoty chrząszcz? Ja jużem niejedno słyszał o tych złotych chrząszczach.

— Skądże ty wiesz, że mu się śni o złocie?

— Skąd ja wiem? bo ciągiem przez sen o niem gada — stąd wiem.

— Hm, Jup, być może, iż masz słuszność, ale jakiejże to szczęśliwej okoliczności zawdzięczam, żeś raczył dziś mnie odwiedzić?

— He, co massa gada?

— Czy masz jakie wieści od Mr. Legrand'a?

— Nie, massa, przyniosłem ino ten kwitek — tu Jupiter podał mi list, który brzmiał jak następuje:

Mój Drogi

Dlaczego nie zaglądasz do mnie już oddawna? Myślę, że nie byłbyś zdolny obrazić się na mnie za jakąśtam przymówkę — nie, to niepodobna.

Nie zachodziłeś do mnie, a ja tu przeżywam tymczasem ciężką rozterkę. Miałbym coś do powiedzenia, lecz doprawdy, nie wiem, jak to powiedzieć i czy wogóle powiedzieć.

Byłem w ostatnich dniach trochę niezdrów; starowina, Jup, nudzi mnie nieznośnie swą poczciwą troskliwością. Czybyś uwierzył? kilka dni temu przygotował sobie spory kij, żeby mnie skarcić za to, iż dałem przed nim nura i przewałęsałem samotnie cały dzień wśród wzgórz, na lądzie. Coś mi się zdaje, że tylko dzięki memu złemu wyglądowi zdołałem ujść cięgów.

Od naszego ostatniego spotkania nie przybyło nic do mych zbiorów.

Przybądź do mnie wraz z Jupiterem, jeśli tylko możesz i jeśli nie będzie to dla ciebie zbyt niedogodne. Przyjdźże! Chciałbym widzieć się z tobą dzisiejszego wieczora w pewnej ważnej sprawie. Zapewniam cię, że to sprawa, nadzwyczaj ważna.

Szczerze ci oddany

William Legrand.

Było coś w tonie tego listu, co mnie dotknęło nader nieprzyjemnie. Cały jego styl różnił się doszczętnie od stylu Legrand'a. Co mu się roiło? Jaki nowy bzik zalągł się w tym niespokojnym mózgu? Do jakiejto „nadzwyczaj ważnej sprawy“ miał zamiar przystąpić? Opowiadanie Jupitera nie zapowiadało niczego dobrego. Jąłem się obawiać, czy nieustanny ucisk niedoli nie wykoleił wkońcu umysłu mojego przyjaciela. Nie zwlekając przeto ani chwili, wybrałem się w drogę z nieodstępnym murzynem.

Kiedy przybyliśmy do przystani, spostrzegłem na dnie oczekującej nas łodzi kosę i trzy łopaty, zupełnie nowe.

— Co to wszystko znaczy, Jup? — zagadnąłem.
— To kosa, massa, i łopaty.
— Wiem; ale skąd one tu się wzięły?
— Massa Will kazał kupić dla siebie w mieście tę kosę i te łopaty i dyablo dużo to kosztowało.
— Lecz, na wszystkie tajemnice, co ten twój massa Will zamierza począć z kosą i z łopatami?
— Nibyto ja wiem wszystko? i niech mię djabli wezmą, jeśli on wie więcej odemnie. Ale to wszystko przez tego chrząszcza!

Widząc, że niczego więcej nie dowiem się od Jupitera, którego umysł kołował widocznie tylko dokoła „chrząszcza“, wszedłem do łodzi i rozpiąłem żagiel. Sprzyjał nam rzeźwy i dość silny wietrzyk;

rychło zawinęliśmy do niewielkiej zatoki na północ od fortu Moultrie, skąd pieszo podążyliśmy do chaty, oddalonej o niespełna dwie mile. Była trzecia po południu, gdy stanęliśmy na miejscu. Legrand oczekiwał nas z ogromną niecierpliwością. Podał mi dłoń nerwowym ruchem, który mnie zaniepokoił i utwierdził w powziętych już podejrzeniach. Twarz miał bladą jak upiór, a jego głęboko osadzone oczy niezwykłym jarzyły się blaskiem. Najpierw spytałem go o zdrowie, poczem nie wiedząc, jak nawiązać rozmowę, zagadnąłem, czy odebrał już żuka od porucznika G—.

— O, tak — odparł, mieniąc się na twarzy — otrzymałem go nazajutrz rano. Za nic w świecie nie rozstałbym się z tym żukiem! Czy wiesz ty, że Jupiter co do niego miał zupełną słuszność?

— Jakto? — zapytałem, pełen smutnych przeczuć.

— Bo przypuszczał, że ten chrząszcz jest szczerozłoty! — Powiedział to z głębokiem przekonaniem, które sprawiło mi niewymowną przykrość.

— Ten chrząszcz przyniesie mi szczęście — mówił dalej z tryumfującym uśmiechem — i odda mi z powrotem dobra rodzinne. Cóż więc dziwnego, że go cenię? Skoro fortuna uważała za stosowne dać mi go w ręce, trzeba będzie tylko odpowiednio nim się posłużyć, a znajdę złoto, którego jest zwiastunem. Jup, przynieś mi tego żuka!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Labirynt

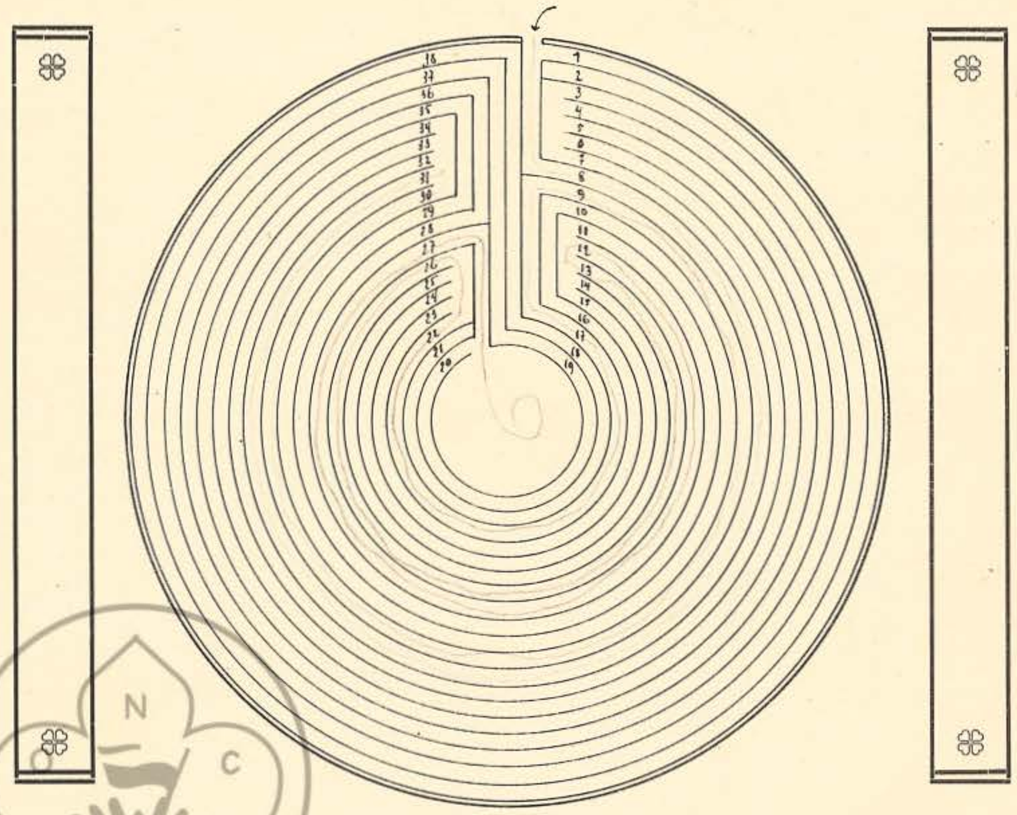

Zadanie polega na tem, aba znaleźć drogę, prowadzącą od wejścia, oznaczonego wskazówką, do środka labiryntu, nie przekroczywszy ani razu linji. W rozwiązaniach należy podać we właściwej kolejności cyfry, które na dobrej drodze leżą, np.: 1, 38, 18, lub: 1, 8, 31, 32 i t. d. Nagroda: Książka do rozlosowania. Termin nadsyłania rozwiązań upływa z dniem 10 stycznia 1926 roku.

archiwum

Nasze piśmiennictwo morskie

Dając poniżej zestawienie ojczystej literatury morskiej, musimy stwierdzić, że dotychczas na tem polu niewiele zrobiliśmy i jest to dział może najwięcej zaniedbany, ale należy uwzględnić przyczyny, które się na to złożyły. Nie posiadając własnej floty, będąc odsunięci od morza, mało się niem interesowaliśmy, poświęcając całą energję w kierunku zdobycia niepodległości, a tylko jednostki, mające sposobność bliższego zapoznania się z niem przelewały na papier swoje wrażenia. W skutek tego dział beletrystyczny jest stosunkowo najbogatszy, natomiast działy: techniczny i naukowy są bardziej ubogie.

Jednakowoż w ostatnim czasie daje się zauważyć znaczniejsze ożywienie na tem polu coraz częściej pojawiają się książki morskie na półkach księgarskich, również czasopisma ogólne umieszczają często aktualne artykuły z tej dziedziny. Do tych pism należą: Tygodnik Ilustrowany z artykułami p. Zdzisława Dębickiego, Bellona, Straż nad Wisłą, Drogi polskie, Przemysł i Handel, Świat Kupiecki. Z dzienników: Kurjer Warszawski, Kurjer Poznański, Przegląd Wieczorny i Dziennik Gdański.

I.
Beletrystyka.

St. Przybyszewski	Nad morzem.
M. Konopnicka	Pan Balzer w Brazylji.
M. Zaruski	Na morzach dalekich, Sonety morskie.
Fl. Hlasko	Morzami ku Polsce, pamiętnik.
W. Sieroszewski	Ocean.
M. Kunicki	Koralowa wyspa.
T. Dębicki	Opis podróży „Lwowa" do Brazylji. Z dziennika marynarza.
E. Korwin-Malczewski	Liryki.
E. Ligocki	Poezje.
St. Zeromski	Wiatr od Morza.
J. K. Korzeniowski	(w przekł. z angielsk.) Murzyn z załogi Narcyza, Lord Jim, Tajfun, Między lądem a morzem (nowele), Smuga cienia, Sześć opowieści, Wspomnienia osobiste, Korsarz.

Przekłady z obcych autorów:

W. Hugo	Pracownicy morza.
J. H. Ribaud	Statek pijany, przekł. Miriama.
Boulon	Wyprawa na połów wielorybów.
Gottie	Rybak islandzki.
Cl. Farrere	Wyspa zaginionych okrętów.
Jack London	Wilk morski, Syn słońca, Opowieści mórz południowych, Prawo białego człowieka.

II.
Prace publicystyczne.

Artykuły: Zdzisława Dębickiego, ś. p. Cholo-niewskiego, prof. A. Janowskiego, inż. J. Rummla.

Ant. Chołoniewski	Nad morzem polskiem.
Z. Dębicki	Powitanie morza.
Inż. Rummla	Port w Gdyni, Państwo a morze.

Praca zbiorowa: Flota polska, Morze polskie, z inicjatywy Ligi Morsk. i Rzeczn.

Fr. Bujak	Dziejowe znaczenie morza.
Rafalski	Własny port na Bałtyku.
broszura *inż. Tillingera*	Port w Tczewie.
Sz. Askenazy	Gdańsk a Polska
A. Rylke	Co każdy Polak o morzu swem wiedzieć powinien.
E. Krzyżanowski	Polska a morze.
Dr. St. Sławski	Dostęp Polski do morza a interesy Prus Wschodnich, z przedmową prof. E. Romera.

Czasopisma: W r. 1921 Bandera Polska, organ L. Z. P. Straż nad Wisłą, Żeglarz Polski (red. J. Klejnot-Turski, Tczew), Morze, organ Ligi M. i R., Wioślarz Polski, Rybak Polski.

III.
Słownictwo.

Bol. Ślaski	Słownik morsko-rybołówczy.
inż. K. Stadtmüller	Niemiecko-polski słownik okrętowy.
J. Klejnot	Pięciojęzykowy słownik żeglarski.
H. Gołębiowski	Wyrazy rybackie i żeglarskie u Kaszubów.

IV.
Historja, Polityka.

Dr. Czołowski	Marynarka w Polsce (Lwów 1922).
Bol. Ślaski	Z dziejów marynarki polskiej. Materjały do dziejów Pucka.
K. Górski	Wojna Rzeczypospolitej ze Szwecją.
S. Askenazy	Gdańsk a Polska.
J. Bartoszewicz	Polska marynarka w encyklopedji powszechnej (Warszawa t. XXXI. 125 36).
B. Bouffał	Spór o Bałtyk.
Dr. F. Bujak	Dziejowe znaczenie morza (Zamość, Pomorański i Ska. 1921).
St. Kruszyński	Stary Gdańsk i historja jego sztuki. (Kraków, J. Czarnecki 1913).
A. Mohuczy	Nautica Res przekł. pracy Kom. de Saint Piere. (Toruń. Ofic. Szkoła Mar. Woj.).
J. Rummel	Państwo a morze (Poznań 1925).

14-ka poznańska nad Bałtykiem.

V.
Technika.

M. Zaruski	Współczesna żegluga morska (Warszawa, Geb. i Wolff 1912).
G. Kański	Streszczony kurs praktyki morskiej (Tczew. Szkoła Morska).
Klejnot	Almanach Żeglarza (Tczew).
A. Ledóchowski	Sekstans. Kosmografja morska.
A. Mohuczy	Nautica Res. przekład.

Torpedowce, Samouczek Techniczny, Torpedy, Torpedowce i Łodzie podwodne, Skrypta Szkoły Morskiej w Tczewie.

VI.
Oceanografje, Żegluga.

M. Baranowski	O morzu. Oceanografja. Urywek z geografji fizycznej. Tarnów 1844.
M. Brzeziński	O morzach i lądach. Warszawa 1889. Wizbek.
M. Siedlecki, prof.	Jawa. Flota Polska. Warszawa.
Dr. Fl. Hlasko	Morzami ku Polsce. Warszawa. Nasza księgarnia 1922.
Dr. Or. Kruczmpel	Ocean i jego tajemnice, zarys oceanografji opr. Wł. Umiński, Warszawa 1898.
G. Kański	Przepisy zapobiegawcze zderzeniu się statków na morzu. Tczew Szk. Morska.
Inż. M. Matakiewicz.	Kanał Panamski. Lwów 1913.
Stupar.	Nawigacja, tłom. Ledochowski
K. J. Unrug.	W porcie i na morzu, Ofic. Szk. Mar. Woj.
M. Zaruski	Na morzach dalekich, Warszawa 1920 Arct.
	Kalendarz Morski, wyd. Żeglarz Polski. Tczew, 1923.

Odpowiedzi

T. Skwarnicki Suwałki. Skorzystamy.

Harcomir. Proszę o adres, z obrazka skorzystamy.

Chudy Orlik. Kwiatkowskiemu dajcie spokój; reszta pójdzie.

Kracica. Niestety — nie mogę twierdzić, że istnieje „konieczna potrzeba“, jednak niekoniecznie długi obrazek zawsze byłby mile widziany. Obietnica „paru słów“ straciła ważność, gdyż zamierzałem porozumieć się co do współpracy.

B. Niewiadomski, Kalisz. Dziękuję za nadesłane rzeczy; są zbyt szczegółowe. Czybyście nie mogli wynaleźć sobie zastępcy?

Trawiński St., Warszawa. Skorzystaliśmy już swego czasu z fotografij, wkrótce pójdzie i reszta.

VII-ka Bydgoska. Dziękuję za obrazek i fotografje; szkoda, że niema widoku całości obozu; 5 grupowych zdjęć na ogólną liczbę 11 — stanowczo za wiele.

Skrzętna Pszczoła. Z fantazji tymczasem nie skorzystamy, spróbójcie dać co innego — tematów wszędzie i zawsze pełno.

Erka. Imienniczkom wszelakiego rodzaju kwiatowego wyrazy redaktorskiej czci. Szczegółowe wyjaśnienia w rozwiązaniach zupełnie zbyteczne.

Złamany Buk. Pocztówkę Waszą skierowałem pod właściwym adresem.

Do wszystkich: nie piszcie rzeczy przeznaczonych do druku na obu stronach arkusza, tylko zawsze na jednej, nie posyłajcie pieniędzy w listach.

Listy do Redakcji.

Szanowny Druhu Redaktorze!

W ostatnim numerze „Czuj Ducha“ we wzmiance o Kościanie nieznany autor podał między innemi nieprawdziwe wiadomości o drużynie im. Jana Sobieskiego, wobec czego proszę uprzejmie o umieszczenie w następnym „Czuj Duchu“ niżej podanych wywodów.

Nieprawdą jest, jakoby w drużynie, naszej nie było żadnego wywiadowcy, gdyż jest ich dwóch.

Nie wiadomo z jakiego powodu wyróżnił autor pracę tej drużyny. Wygląda to tak, jak gdyby w drużynie wogóle nic nie robiono, ani wycieczek, pogadanek, żadnych ćwiczeń i t. p. Tak atoli nie jest, o czem autor niezaprzeczalnie dobrze wie — gbyż aż nadto dobrze — jak wynika z jego artykułu — o stosunkach w naszej drużynie jest poinformowany. Że kolonji w lecie nie urządzono, to jedynie z tego powodu, że większa część chłopców, to młodzież rzemieślnicza, która niema w ciągu roku ani 8 dni wakacyj. To też wyzyskano więcej niedziel i świąt, urządzając wycieczki 1 i 2-dniowe, dotychczas na ogólną liczbę 12 dni. Obecnie zaś jest już 9 młodzików tak dalece przysposobionych, że w krótkim czasie mogą zdać próbę na II-gi stopień. Ani Komenda Chorągwi, ani instruktorzy, którzy odwiedzili naszą drużynę, nie mieli dotąd powodu na pracę naszą się żalić.

Zatem nie jest jeszcze tak źle, ażeby III-cią drużynę tutejszą uważano jako „jedyną pociechę Kościana, jedynie zapowiadającą się dobrze“.

Niech w przyszłości autor unika takich „błędów“, gdyż mógłby być łatwo posądzony jako nieprzyjaciel harcerstwa.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku dla Redakcji i ślę harcerskie „Czuwaj“.

Wojciech May, wywiadowca.

Również p. Józef Menzel, nauczyciel w Kościanie, nadesłał nam sprostowanie, dotyczące tejże wzmianki z Nr. 9, z którego wynika, że

1) nieprawdą jest, jakoby kierownikiem drużyny szkolnej im. T. Kościuszki był jeden z pp. nauczycieli tutejszej szkoły powszechnej, prawdą natomiast jest, że chwilowo (t. zn. aż do zatwierdzenia) drużynowym jest chłopiec 15-letni, mający 3-ci stopień;

2) nieprawdą jest, jakoby żaden z druhów tej drużyny nie posiadał egzaminu, prawdą zaś jest, że ubiegłego roku w drużynie było 10 z 3-cim stopniem, a obecnie jest ich 3, 15 jednak w najkrótszym czasie zdawać będzie przepisany egzamin, celem uzyskania 3 stopnia;

3) nieprawdą jest, jakoby nie pracowano w wymienionej drużynie, prawdą natomiast jest, że prócz zwykłych ćwiczeń harcerskich druhowie zajmują się pracami introligatorskiemi

Na „Ognisko Włóczęgów“ w tym numerze nie pozostało miejsca. Rozpalimy go znowu w następnym.

Varia

Przedstawicielstwo „Czuj Ducha“ w Łodzi.

Celem ułatwienia nawiązania kontaktu z terenem Łódzkiej Chorągwi. „Czuj Duch“ założył tam przedstawicielstwo i przyjmuje ono przedpłaty, ogłoszenia, korespondencje, artykuły i t. p. oraz udziela wszelkich potrzebnych wyjaśnień.

Powiadamiając o tem wszystkich zainteresowanych składamy równocześnie jego kierownikowi

druhowi Józefowi Mazurowi

Łódź, Wólczańska 225

serdeczne podziękowanie za energiczną działalność na nowej placówce.

Koło starszych harcerzy w Inowrocławiu. W początku października b. r. utworzyło się w Inowrocławiu samorzutnie Koło Starszych Harcerzy. Koło liczy przeszło 20 członków i to harcerzy b. wojskowych. Kołu przewodniczy dh. Marcin Strachanowski a gospodarzem tegoż Koła jest dh. Aleks. Masłowski. W dniu 8. grudnia odbędzie się „Dzień Harcerski“, w którym pokaże się publiczności, jak harcerze pracują.

Czuj Duch wita serdecznie powstanie Koła, życzy mu wielkich bitw i wielkich zwycięstw: jest pewny, że i jemu coś przypadnie w udziale, coby mógł podać dalej; sam przecież, choć zaledwie cztery liczy lata, to, jednak, o tym czasie marzy, kiedy będzie mógł powiedzieć;

— No, i ze mnie przecie stary harcerz!

Redaktor: Jan Łęcki. Redakcja i Administracja: Poznań, Zamek.

PRZEDPŁATA: rocznie 6,— zł, półrocznie 3,— zł. kwartalnie 1,50 zł.

OGŁOSZENIA: strona 100,— zł, pół str. 60,— zł, ćwierć str. 35,— zł, ósemka str. 20,— zł, szesnastka 15,— zł.

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności nr. 203 662.

Wydawca: Oddział Wielkopolski Zw. Harc. Polskiego. Czcionkami Drukarni Uniwersytetu Poznańskiego.

archiwum